

Obudziłem się. Spałem niedługo, najwyżej sześćdziesiąt lat.

Znow złapałem się na tym, że próbuję unieść powieki. Trzeba popracować nad tym nawykiem z przeszłości. I nad przetykaniem śliny zaraz po przebudzeniu. W końcu wszystkie narządy mi obumarty. Paskudne uczucie.

Najwyższa pora powrócić.

W sypialni było ciemno i duszno. Ciężkie kotary przepuszczały wątlą ilość światła. Dębowe meble były pokryte grubą warstwą kurzu, a w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Na łóżku spoczywały zwietrzałe, ludzkie szczątki.

Skoncentrowałem się.

Nic się nie wydarzyło. Dopiero po chwili wokół szczątek pojawiły się pierwsze wyładowania. Błękitne iskry strzelały z cichym trzaskiem. Pojedyncze przebłyski bardzo szybko nabrały częstotliwości i w mgnieniu oka nad łóżkiem unosiło się tysiące migoczących światełek. Bardzo dobrze wychodziło mi gromadzenie Mocy.

Nagle iskry eksplodowały i szczątki zajęły się błękitnymi płomieniami. Języki ognia sięgały drewnianego stropu.

Zacznę klasycznie, od kręgosłupa. Potem odbuduję pozostałą część kośćca, narządy wewnętrzne, mięśnie, układ krwionośny i resztę organizmu. No i włosy, muszę pamiętać o włosach.

Jak pomyślałem, tak zrobiłem.

Płomienie przybrały barwę soczystej zieleni, a w nich odradzało się moje ciało. Kości zaczęły łączyć się w spójną konstrukcję. Od razu zmaterializowała się na nich tkanka i oblekająca ją skomplikowana sieć żył i tętnic. Płomienie rozjaśniały światłem tak potężnym, że przez moment całe pomieszczenie zlało się w białą plamę.

Po chwili wszystko zgasło.

Gotowe.

Uniosłem powieki.

W sypialni znowu było ciemno.

Co za ulga patrzeć na świat własnymi oczami, a nie odczuwać go mentalnym aparatem percepcyjnym.

Podniosłem się.

Łóżko zaskrzyphiało niebezpiecznie.

Cholera, znowu to samo.

Podszedłem do kotar i odsłoniłem jednym zamachem. Do środka wlała się fala światła.

Tą chwilę uwielbiam najbardziej.

Nie jestem do końca świadomy jak to działa, ale od momentu kiedy otwieram moje prawdziwe oczy, cała rzeczywistość wokół zmienia się. Przedmioty, które uległy wpływowi czasu podczas mojego snu, na powrót odbudowują swoją strukturę. Ich wewnętrzna konstrukcja znowu jest bardzo zwarta. Nabierają barw, wydzielają zapachy i przestają skrzipieć. No i kurz znika.

Przez chwilę obserwowałem, jak przebiega proces „odbudowy” mojej sypialni: potężne, dębowe meble nabrały odpowiedniego koloru, róże w wazonie odrosły, a szczątki kota stanęły w zielonych płomieniach, by po chwili zmienić je w pełnowartościowego dachowca. Futrzak od razu pobiegł do kuwety.

Wciągnąłem powietrze przesycone ozonem.

To był mój czwarty Powrót od czasów Apokalipsy. Mimo to dalej nie mogłem przywyknąć.

Coś mnie wyrwało z zamyślenia.

Właśnie dotarł do mnie komunikat. To Tamfir. Wkrótce tu będzie.

Najwyższa pora ubrać džinsy.

*

Siedzieliśmy na tarasie mojej drewnianej chaty, pięćdziesiąt metrów nad ziemią.

- My nie śnimy, Fedo - Tamfir spojrzał na mnie znad litrowego kufła. Jego złota skóra doskonale komponowała się z kolorem trunku.

- To co się z nami dzieje?

- Regenerujemy się. Odesłanie Ostańców w czasy zagłady pochłania olbrzymie pokłady Mocy – wyjaśnił. Następnie pociągnął spory łyk, rozlewając pianę po czerwonej brodzie.

- Kurwa, smaczne to piwo.

- Pszeniczne, w najdoskonalszej odmianie – powiedziałem, po czym jednym haustem opróżniłem zawartość kufła. Wiedziałem, że piwo jest takie smaczne tylko dzięki naszej obecności. Kwarki układają się w najbardziej idealną strukturę przedmiotu. Tym sposobem piwo jest przesycone piwowością w całej swej istocie. Niestety, ma tylko pięć procent.

Tamfir wstał od ławy i podszedł do beczki. Następnie odkorkował ją, uniósł nad złotą głowę, porośniętą czerwoną grzywą i zaczął żłopać.

Lubiłem go. To on mnie odesłał i wytłumaczył, czym tak naprawdę jesteśmy. Nauczył mnie posługiwania się Mocą, objaśnił jak wygląda świat po Apokalipsie i pomógł mi wybudować chatę. A co najważniejsze, nauczył mnie odsyłania innych Ostańców.

Skończył.

Nieznacznie pijany walnął się na ławę i spojrzał na otaczającą nas okolicę.

- Pięknie tu – powiedział lekko wstawiony i czknął głośno.

Nic nie odpowiedziałem. Obserwowałem.

W odległości dwustu metrów od mojej chaty rzeczywistość była poukładana: drzewa, rośliny, jakaś wiewiórka, którą gonił kot. Jednak im dalej patrzyłem, tym bardziej widoczny był wpływ chaosu i panowania Jeźdźca Śmierci. Drzewa i zwierzęta traciły kolor, ich struktura się rozsypywała, czasem łączyła, tworząc hybrydalne bestie. Dźwięki mieszały się z zapachami. W odległości około kilometra od granicy mojego terenu cała rzeczywistość ulegała całkowitej atrofii i destrukcji, a wszystko płonęło jadeitowymi płomieniami, które tworzyły kilkudziesięcio kilometrową ścianę ognia. Dochodziły stamtąd jęki i upiorne wrzaski. Gdzieś tam kroczył ostatni z Jeźdźców. Błady kościotrup na swoim demonicznym koniu pochłaniał coraz to nowe tereny, brutalnie mordując Ostańców.

Musieliśmy temu zapobiec. W końcu było nas tak niewielu. No i potrzebowałem kobiety. Samotność to paskudna sprawa.

Nagle zobaczyłem, jak na horyzoncie płomienie się rozstępują. To jeden z naszych. Idzie tu. Na pewno prowadzi kilku ocalałych.

Muszę przygotować Trakt i Bramę.

Spojrzałem na Tamfira. Pogrążył się w idealnym, pijackim śnie. Nie zazdrościłem mu. Po takiej ilości piwa przyjdzie kac. W najdoskonalszej formie.

*

Wyszedłem z chaty.

Kot przebiegł obok mojej nogi i zniknął za drzwiami. Znowu kuweta.

Przez moment zastanawiałem się, czy zostawić dom z ciemnych bali na powierzchni. W końcu w środku był Tamfir i dachowiec. Z drugiej strony obydwaj potrafią sprowadzić go z powrotem na ziemię.

Skoncentrowałem się.

Chata zaskrzypiała, po czym powoli zaczęła się unosić. Osypało się trochę ziemi.

Zwój liny z włókien węglowych, który z jednej strony przymocowany był do spodu budynku, z drugiej tkwił głęboko w ziemi, powoli zaczął się rozwijać. Po minucie lina napięła się i chata zatrzymała się na wysokości pięćdziesięciu metrów nad ziemią.

Gotowe.

Teraz muszę przygotować Trakt.

Trakt jest ścieżką prowadzącą do Bramy, z której odsyłamy Ostańców w czasie Apokalipsy. Stworzenie tej ścieżki nie jest to zbyt trudne i nie pochłania dużej ilości Mocy. Dla nas nie jest to nawet konieczne, bo potrafimy przechodzić przez tereny pogrążone w płomieniach bez najmniejszego uszczerbku. Nasze pojawienie się zmienia całą strukturę rzeczywistości, porządkując ją tak, że przez ułamek sekundy przestrzeń ta nie ulega mocy Jeźdźca Śmierci. Niestety po chwili na powrót rozpada się i pogrąża w chaosie.

Wytyczenie Traktu jest potrzebne Ostańcom, by mogli bezpiecznie przejść przez płomień. W przeciwnym wypadku od razu by zniknęli. Nie, nie umarli. To jest gorsze od śmierci. Popadliby w nicość.

Ponownie się skoncentrowałem. Czułem jak Moc gromadzi się wokół mojego splotu słonecznego. Wpatrywałem się w najbardziej oddalone ode mnie drzewo. Było całe powykrzywiane, pokryte śliską wydzieliną i setką ropiejących oczodołów. Znajdowało się na granicy. Kołysało się lekko na boki, pojękując cicho. Cierpiało.

Wzięłem głęboki oddech, przymknąłem powieki.

Nagle poczułem, jak z mojego splotu wystrzelił strumień błękitnego światła. Poleciał w stronę drzewa, a potem kierował się tam, gdzie miał trafić. Do Bramy.

Byłem mocno skoncentrowany i czułem, jak kreuję Trakt. Płomień zaraz ustąpi i na jakiś czas stworzę wąski korytarz nietknięty siłą chaosu, przez który bezpiecznie przejdą Ostańcy. Ten stan nie potrwa wiecznie, dlatego będą się musieli śpieszyć.

Usłyszałem w głowie czyjś głos.

Przybyli.

*

Przyprowadził ich Błękitny.

Błękitny był jednym z najstarszych. Mimo to miał młodzieńczy wygląd, długie, jasne włosy i bardzo jasną cerę. No i błękitną krew, co było widać po kolorze jego ust. Nosił platynowy napierśnik i miecz przewieszony przez plecy. Przyjechał na siwym wierzchowcu.

Nie rozmawialiśmy. Usłyszałem w głowie głos, który mówił, żebym jak najszybciej zabrał Ostańców do Bramy, a on pędzi ratować następnych. Jeździec Śmierci zatacza coraz ciaśniejszy krąg wokół reszty ocalałych.

Potem wierzchowiec obrócił się i ruszył z Błękitnym w siodle, zostawiając za sobą chmurę pyłu.

Przyjrzałem się Ostańcom. Było ich siedmioro: dwóch niewysokich mężczyzn, trzy dziewczyny i dwie kobiety. Wszyscy wyglądali na przerażonych, a w oczach mieli obłąd.

Też kiedyś byłem jednym z nich. Dobrze wiedziałem jak się czuli. Kompletne zagubienie. Pamiętam jak dziś Apokalipsę mojego świata. Nie było nagle wojen, głodu, czy zarazy. Nie w tym znaczeniu. To był proces. Po prostu z dnia na dzień ludzie coraz bardziej widzieli bezsens swojej egzystencji i bezcelowość istnienia. Skutkiem tego był powolny rozkład wartości, kultury, życia rodzinnego i społecznego, aż w końcu totalnie zagubiliśmy się w świecie. Straciliśmy punkt oparcia. Wszystko stanęło, cała cywilizacja przestała działać. Podobnie było z pojedynczymi ludźmi. Człowiek nie wiedział kim jest i po co jest. Rzeczywistość zaczęła tracić ostrość. Momentami widziałem zbliżające się płomienie w kolorze jadeitu.

Pewnego dnia zobaczyłem wysoką, jasną postać ze skrzydłami. To był anioł. Kazał mi iść za sobą. Usłuchałem. Szedłem w stadzie innych ludzi. Potem przekazał nas innemu aniołowi, który zaprowadził nas do groty. Myślałem, że chce nam pomóc, a on zamknął nas w pieczarze. Potem nastąpiła ciemność i znowu obudziłem się w czasach Apokalipsy.

Patrzyłem na ocalałych ludzi. Byli dwukrotnie niżsi ode mnie, nie było w nich Mocy. Pora to zmienić.

Ruszyłem w stronę Traktu, a oni posłusznie podążyli za mną.

*

Ścieżka była bardzo wąska. Wokół nas unosiły się jodeitowe płomienie.

Ostańcy byli przerażeni. Słyszeli potępieńcze wrzaski i nieludzkie zawodzenia.

Prowadzałem ich w pośpiechu.

Czułem na sobie jego spojrzenie. Był blisko. Szedł po drugiej stronie na swoim demonicznym wierzchowcu. Nie bałem się go. Mimo to przyspieszyłem.

*

Kazałem im wejść do pieczary, po czym zamknąłem wejście olbrzymim, kamiennym włazem. Skoncentrowałem się. Moc gromadziła się wokół mnie. Stanąłem w błękitnych płomieniach.

Pamiętam mój powrót do przeszłości i przebudzenie w czasach Apokalipsy. Pozornie nic się nie zmieniło. Leżałem w swoim łóżku, obok mnie była jakaś laska, która w nocy mi obciągała. Nic nie znaczące wydarzenie. Potem wróciłem do swojego życia. I zacząłem się zmieniać.

Tamfir mówił mi, że po odesłaniu Ostańcy „widzą” więcej, dzięki czemu są w stanie przeżyć.

Nie pamiętałem wtedy „przyszłości”. Zacząłem jednak zauważać istotne zmiany w świecie wokół siebie. W sposobie myślenia swoim i innych ludzi. Nie przypominam sobie teraz dokładnie, jak to wtedy wyglądało, ale dosłownie walczyły we mnie skrajne sposoby patrzenia na siebie i na świat. Czułem, jaką presję wywierały pozornie nieważne słowa, czy poglądy, które krążyły wokół jak szarańcza.

Wtedy wydawało mi się to głupie i natarczywe.

Czułem, że to nie jest w porządku i nie szedłem za tłumem. Nie potrafiłem ulec potężnej sile, która wysysała z człowieka wszystko co najlepsze. Ta siła dosłownie spłycała całe moje pojmowanie siebie. Była wszechobecna: w telewizji, w stylu życia, w poradach rodziny, w internecie.

Żyłem normalnie: praca, studia, przygodny seks, wypadki ze znajomymi. Jednak coraz bardziej odczuwałem absurd rzeczywistości, w której się znalazłem, życia w którym żyłem i ludzi, których spotykałem. To wszystko było płytkie, bez jakiegokolwiek głębi, tajemnicy.

Następnie poczułem olbrzymi głód poznania. Kim naprawdę jestem, po co to wszystko? Odpowiedź było łatwo znaleźć: krążyła jak szarańcza wokół, wystarczyło tylko przyjąć ją za pewnik. Postąpić wygodnie, jak większość. Nie potrafiłem.

Tamfir tłumaczył mi później, że tak manifestowali się Jeźdźcy.

Trudno było ich pokonać, ale nie uległem. Najgorszy jednak był ostatni. Przychodził wtedy, kiedy ludzie tracili zupełnie jakikolwiek punkt orientacji, kiedy byli zagubieni i bez Mocy. Ja byłem na granicy, bo ciągle wierzyłem, że jest „coś” więcej.

Jeździec Śmierci przyszedł do mnie pod swoją prawdziwą postacią: kościotrup w zakrwawionej opończy na demonicznym koniu. Już wtedy cały świat wokół mnie płonął jadeitowym ogniem. Słyszałem wrzaski i opętańcze zawrodożenia. Potwory i bestie czekały, aż Jeździec mnie złamie. Jednak mimo to tliła się we mnie resztką nadziei. To wystarczyło.

Potem wszystko zniknęło. Kiedy otworzyłem oczy, uzmysłowilem sobie, że leżę nagi w ciemnej pieczarze.

Tak stałem się Postapokaliptycznym.

Nie miałem jeszcze pojęcia, jak działa Brama. Tamfir tłumaczył mi, że po odesłaniu Ostańców należy od razu odsunąć włącznik. Wnętrze Bramy rządziło się zupełnie innymi prawami, niż reszta Wszechświata. Mówił też, że jeżeli ktoś pokona czterech jeźdźców, to tuż po otwarciu groty będzie leżał w niej w swojej prawdziwej postaci.

Zawahałem się.

Tam było siedmioro ludzi.

Miałem nadzieję, że chociaż jeden z nich przeżyje. Straszne rzeczy działy się z tymi, którzy po raz drugi ulegli Apokalipsie. Poza tym czułem się bardzo samotny.

To był ten moment.

Uchyliłem włącznik.